Nr. 3. Lwów, 1. lutego 1901. Rok XXIV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

ROGI JELENIE.

Przez A. Przedrzymirskiego.

(Dokończenie).

Trzecim stopniem rozwoju jest szóstak. Oprócz pnia głównego i odnogi ocznej, wyrasta mniej więcej w połowie pnia druga odnoga. Ta odnoga tworzy z pniem kąt ostry, dąży od podstawy na zewnątrz i opisawszy łagodny łuk, zwraca się końcem ku środkowi. Im jeleń jest starszy, tem bardziej rozwarty tworzy ta odnoga kąt z pniem głównym. Charakterystycznem dla szóstaka jest to, że pień główny, jeżeli patrzy się nań z boku, nie tworzy już, jak u widłaka, jednostajnego łuku od róży do końca, lecz rozpada się na dwa łuki, z których jeden sięga od róży do podstawy odnogi środkowej, drugi od podstawy odnogi środkowej do wierzchołka rogu.

W miejscu, gdzie wyrasta odnoga środkowa, dostaje pień główny rodzaj kolana od strony zewnętrznej, któremu odpowiada wgłębienie od strony wewnętrznej. Podczas gdy róg widłaka graficznie przedstawia się jak fig. 1., to

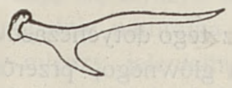


Fig. 1.

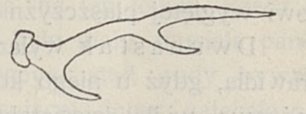


Fig. 2.

róg szóstaka widziany z boku będzie, mniej więcej miał tę postać, jak fig. 2.

Ponieważ się zdarza, że jeleń mimo dożycia odpowiedniego wieku, nie osadza którejkolwiekbądź gałęzi, więc widujemy szóstaki, które posiadając kolano i wgłębienie w środku pnia głównego, nie posiadają odnogi środkowej. Profan oznaczy na podstawie ilości końców takiego jelenia jako widłaka, lecz na podstawie nauki jeleń taki jest szóstakiem, gdyż posiada charakterystyczną cechę, brakującą prawdziwemu widłakowi. Rzecz ta może zajść

jeszcze dalej, gdyż szóstakowi brakować mogą obydwie odnogi, oczna i środkowa, i wtedy szóstak taki dla profana będzie szpiczakiem, podczas gdy wtajemniczony badacz, ujrzawszy pień główny, rozdzielony na dwa łuki, bez wahania przyzna takiemu szpiczakowi tytuł szóstaka, słusznie mu się należący.

D a l s z y m s t o p n i e m r o z w o j u j e s t ó s m a k tj. jeleń w 5-tym roku życia. Jego wieniec zupełnie jest podobnym do wieńca szóstaka, tylko odpowiednio silniejszy. Odnoga oczna opuszcza się niżej do róży, odnoga środkowa tworzy z pniem kąt mniej ostry niż u szóstaka, pień główny pozostaje podzielony na dwa łuki i występuje charakterystyczne znamie ósmaka, mianowicie wierzchołek głównego pnia tworzy widełkę, której jedno ramię jest równoległe prawie do odnogi środkowej, drugie biegnie bez załamania, w kierunku łuku od podstawy odnogi środkowej do wierzchołka pnia głównego i samym końcem zwraca się ku środkowi.

W miejscu, gdzie wyrasta odnoga widły, nie ma na wewnętrznej stronie pnia głównego żadnego wgłębienia. Ósmakowi wydarza się to samo, co i szóstakowi. Może bowiem być pozbawionym odnogi ocznej i środkowej, zachowa jednak widełkę górną i pień główny, podzielony na dwa łuki i na podstawie tych znamion musi być oznaczony jako ósmak.

U d z i e s i ą t a k a przybywa jeszcze jedna odnoga zawsze pomiędzy odnogą oczną a odnogą środkową. Niemcy tę nową odnogę nazywają „Eissprosse“, my ją nazwiemy „drugą odnogą oczną“. Ta odnoga nadaje jeleniowi patent na dziesiątaka. Choćby wieńcowi brakowały wszystkie inne odnogi, gdy jednak druga odnoga oczna jest obecną, jeleń musi być oznaczonym jako d z i e s i ą t a k, gdyż tę ozdobę i to zawsze w tem samem miejscu, dostaje dopiero jeleń po „wysłużeniu“ stopnia ósmaka.

Druga odnoga oczna należy do tych, których najczęściej brakuje jeleniowi, zwykle na jednym rogu, czasem na obydwu. Są zawody jeleni, które nigdy nie miewają drugiej odnogi ocznej, lecz wtedy w właściwem miejscu widzimy na pniu głównym wypukły guzik lub też ostrą listwę rogową. To są oznaki, że w tych miejscach wyrość miała druga odnoga oczna i taki jeleń jest d z i e s i ą t a k i e m. Do tego czasu tj. do stopnia dziesiątaka, widzieliśmy, że pień główny, oprócz nieznacznego wgłębienia w miejscu, gdzie wyrasta odnoga środkowa, zachował swój jednostajny kierunek łukowy począwszy od podstawy rogu ku jego wierzchołkowi — wszystkie boczne odnogi leżały do siebie prawie równolegle w jednej lekko ku środkowi wygiętej płaszczyźnie.

D w u n a s t a k wyłamuje się z tego dotychczasowego prawidła, gdyż u niego koniec pnia głównego, przerósłszy końcową widłę dziesiątaka, cofa się gwałtownie w tył, opuszczając łukowy kierunek głównego pnia i końcem zwraca się ku środkowi. W ten sposób wszystkie odnogi przestają już leżeć w jednej płaszczyźnie, gdyż końcowa odnoga nie jest już równoległą do swoich sióstr i w innym kierunku od pnia odstercza. W miejscu, gdzie ta nowa odnoga wyrasta, powstaje w głównym pniu drugie wgłębienie czyli kolano a wierzchołek wieńca tworzy tak zwaną koronę, która po raz pierwszy występuje u dwunastaka. Korona powstaje w ten sposób, że widły dwunastaka wygięte ku środkowi, do których przybyła dążąca w tył nowa odnoga, wyrastają z pnia głównego w tem samem prawie miejscu, choć w różnych kierunkach, wskutek czego między trzema wierzchołkowymi końcami powstaje dłoniowate rozszerzenie pnia głównego i to właśnie wraz z trzema sterczącymi końcami nazywamy koroną. Charakterystycznemi więc cechami dwunastaka są: kolanowate wygięcie w głównym pniu, w miejscu, gdzie wyrasta odnoga środkowa, drugie takie kolano w koronie i sama korona. Jeleń, który te dwa kolana posiada, jest nawet wobec zupełnego braku odnóg bocznych zawsze dwunastakiem.

Jeleń noszący koronę jest dopiero jeleniem dojrzałym (Capitalhirsch) i właściwie tylko taki powinien być strzelanym.

U c z t e r n a s t a k a końcowa odnoga tworzy nową widlę i nowe kolano, u s z e s n a s t a k a przybywa w koronie jeszcze jedna odnoga i jeszcze jedno kolano, przyczem wierzchołek rogu zwraca się zawsze ku środkowi.

Tu zwykle kończy się normalny rozwój rogów, gdyż przybywające z wiekiem nowe odnogi zlewają się w koronie w szerokie szufle — korona wygląda wtedy jak ogromna dłoń z sterczącymi wokoło palcami, gdzie trudno doszukać się jakiegoś systemu w układzie. — Są to zwykle już bardzo stare jelenie i miewają w jednym roku więcej końców w koronie, w drugim mniej.

Zawsze jednak tam, gdzie w roku zeszłym był jakiś koniec, widać w następnym wypukły guzik lub kant rogowy.

Zdarza się wprawdzie, że jeszcze w wyższym stopniu rozwoju rogów możemy dośledzić rządzącego tym rozwojem prawidła — i tak widzimy ośmnastaki, które nad ostatnim kolanem i najwyższą odnogą szesnastaka mają jeszcze jedno, już w takim razie czwarte kolano i nową wyższą odnogę, dwudziestaki o pięciu wyraźnych kolanach w głównym pniu rogów, ale jak wspomniałem, najczęściej rogi po przejściu stopnia szesnastaka wytwarzają już zwykle dłoniowatą koronę, w której cały układ zlewa się w jedną rogową szuflę, najeżoną na wszystkie strony końcami. — U takich jeleni wieku oznaczyć niepodobna, jak to z całą dokładnością aż do normalnego szesnastaka uczynić można.

Widzimy więc z wyżej przytoczonych spostrzeżeń, że jeleń osiągnąwszy raz koronę (dwunastak), już poniżej tej korony żadnych zmian nie doznaje w budowie rogów, a wszystko, co przybywa, przybywa już tylko w koronie. Tak samo dwudziestak, jak i dwunastak mają zawsze poniżej korony tę samą ilość bocznych odnóg, tylko, że pierwszy z nich ma koronę o 7 końcach, podczas gdy drugi tylko o trzech. Ilość i układ odnóg, wyrastających poniżej korony pozostają u wszystkich dojrzałych jeleni zawsze te same i składają się tylko z trzech odnóg — mianowicie, z pierwszej ocznej, drugiej ocznej i z środkowej, to co jest już nad niemi, począwszy od dwunastaka liczy się do korony.

Nadmienić tu muszę, że według teoryi, te tylko odnogi mają prawo być policzonemi, które bezpośrednio dotykają pnia głównego, lub dłoniowatego rozszerzenia korony. — Wszelkie inne widełkowate wyrostki na bocznych gałęziach muszą być uważane jako anormalności, które liczone być nie mogą.

Powstaje tu ogromna różnica zdań między myśliwymi i badaczami. — Bo wydarza się nieraz, że widzi się, szczególniej w zwierzyńcach, jelenia, który w roku zeszłym był ósmakiem, a w rok później dostał wieniec o 12 końcach. — Rzecz ta stała się w taki sposób. Ósmak dostał

w roku bieżącym naturalnym biegiem rzeczy drugą odnogę oczną, właściwą dziesiątakowi, (Eissprosse), bo to mu się w tym roku należało, prócz tego obydwie jego odnogi środkowe, wskutek jakiegoś wybryku natury, potworzyły widełki. — Jeleń więc ma 12 końców. Myśliwy, ubiwszy takiego jelenia, nazwie go dwunastakiem, lecz badacz z zupełną racyą powie mu — „mój panie, to jest dziesiątak, bo nie ma korony, ani drugiego kolana w głównym pniu rogów“. — Pomyłka ta może być jeszcze dalej idącą, bo dzisiejszy ósmak może być w roku następnym czternastakiem, jeżeli zamiast jednej dwie gałęzie ulegną rozwidleniu, n. p. odnoga oczna i odnoga średnia. Dla biegłego jednak nie przestanie ten jeleń być dziesiątakiem, choćby miał nawet 24 końce. Widzimy więc, że podstawą oznaczenia rogów jelenia nie jest sama liczba końców, lecz przedewszystkiem kształt i budowa rogów, gdyż wszystkie końce, niewyrastające wprost z pnia głównego względnie z korony, liczonymi być nie mogą, jako chimeryczne i przypadkowe przyczepki.

Liczyć możemy tylko te odnogi, które bezpośrednio podstawą swoją dotykają pnia głównego, a takie odnogi nie wyrastają kiedy bądź na chybił trafił, lecz czas i miejsce, w którem się zjawiają, są tak ściśle oznaczone, jak bieg ciał niebieskich, gdzie nic się przypadkiem nie dzieje. A jeżeli czasem na właściwem miejscu właściwej odnogi nie ma, to jest tam w jej zastępstwie albo guz albo listwa rogowa, kolano lub też wgłębienie w głównym pniu, a znak taki dla biegłego wystarcza do oznaczenia jelenich rogów w właściwy sposób.

Wobec tego prawidła upada bardzo wartość słynnych rogów jelenich w Moritzburgu, w Saksonii, między którymi jest jedna para o 66 końcach, obok wielu innych mniej, lecz także po kilkadziesiąt końców mających. Są to wszystko rogi jeleni chodowanych stucznie, u których starano się o fenomenalny rozwój rogów. U wymienionych rogów jest prawie każda główna odnoga porozwidlana do niemożliwości, nie dziw więc, że jeżą się tylu końcami. To samo da się powiedzieć o sławnych trzydziestakach i czterdziestakach, strzelanych corocznie w Rominten przez cesarza niemieckiego. U wszystkich tych fenomenów liczba właściwych odnóg topnieje nadzwyczajnie, gdy się je w właściwy sposób policzy.

Wspólnie z Węgrami cieszymy się tem, że posiadamy najsilniejsze tak co do wagi, jakoteż wieńców jelenie z całego świata. Jeden wapiti północnoamerykański może pod tym względem współzawodniczyć.

Rzeczywiście miewają nasze karpackie jelenie przecudne wieńce — i trofea lat ostatnich służyć mogą jako słuszne potwierdzenie opinii, jakiej nasze jelenie używają. Co roku padają u nas na rykowisku dwudziestaki i ośmnastaki o bujnych wyrośniętych wieńcach. — Widziałem z pewnością około tysiąca par galicyjskich rogów jelenich, lecz równie pięknych, jak znajdujące się w kolekcyi hrabiego Henryka Konarskiego w Grochowcach, nie widziałem. Wieńce te pochodzą z Wetliny, dóbr należących do hr. Konarskiego, a położonych w Beskidzie, w okolicy między Łupkowem a Lutowiskami. Mierzyłem tam dwudziestaki i osiemnastaki, których rogi mierzone po krzywiźnie dochodziły do 130 cm. długości, a w linii prostej po przeszło jednym metrze. Rozpiętość jednej pary wynosiła 110 cm. w najszerszem miejscu, a waga różnych par od 7 do 10 kg. Przed kilku laty padł w tym samym rewirze z ręki p. Adama Fedorowicza jeleń o 22 końcach, którego wieniec na wystawie lwowskiej podziwiano. Są to tak potworne rogi, że mimowoli nasuwają się na myśl przedpotopowe olbrzymy. Wątpię, czy za dni naszych padł w Galicyi drugi równie silny jeleń.

Wielkość rogów nie jest zależną od wielkości jelenia, zdarza się tak samo jak u rogaczy, że nikłe indywidua mają ogromne wieńce i odwrotnie, w każdym razie przypuszczam, że stare jelenie cieszą się piękniejszym i silniejszym wieńcem od młodych. Na rozwój rogów wpływają i inne dotąd dokładnie nie zbadane okoliczności. Są okolice, gdzie jelenie mają bardzo duże rogi, a inne, gdzie te ozdoby są nikłe; są rodziny jeleni, które mają rogi stałego typu i ten typ z pokolenia w pokolenie dziedziczą, są lata, w których bywa poprostu nieurodzaj na rogi. Zdaje się, że w formacyi rogów oprócz indywidualnej skłonności, odgrywają wielką rolę dziedziczność, warunki klimatyczne i pasza. Bądź co bądź, Galicya pod tym względem jest wyjątkowo uposażoną, a die „Karpaten Hirsche“ są dla zagranicznych Nimrodów zawsze pożądaną zdobyczą.

To też wszystkie prawie nasze tereny jelenie są albo w posiadaniu wielkich panów krajowych lub „von draussen“, lub też w posiadaniu towarzystw łowieckich.

Ta okoliczność wpłynęła nadzwyczaj korzystnie na rozmnożę jeleni w Galicyi, bo tak jedni jak i drudzy dbają o ochronę i hodowlę tego szlachetnego zwierza. Z rozmnożeniem jednak jeleni nie idzie w parze rozwój rogów. W ostatnich latach padło mało wystawowych okazów, jak to się przed kilku jeszcze laty zdarzało. Poprostu jeleń do wyformowania ogromnych rogów potrzebuje długiego szeregu lat a obecnie trudno mu doczekać się sędziwego wieku. Przed kilkunastu laty polowało w Galicyi kilku ludzi na jelenie, dziś poluje może kilkuset. Wystrzelaliśmy poprostu zapasy z lat dawnych, wytępiliśmy owych praojców dzisiejszych jeleni, które rozmnażamy i otaczamy opieką, ale dochować im się porządnych rogów nie pozwalamy. Z roku na rok padać będzie mniej grubych jeleni i dojdziemy do tego, jak w innych krajach, gdzie czternastak uważanym bywa za fenomen.

Stanie się z jeleniami u nas to samo, co z dzikami. Mamy dużo dzików a przeważnie same drobne — z dużym odyńcem coraz trudniej się spotkać.

Z powodu uregulowanych stosunków łowieckich i opieki, jakiej jeleń używa, wzrosła także niepomiernie u nas liczba łań. Ta okoliczność wpłynęła w ostatnich czasach prawie wszędzie na pogorszenie rykowiska i zewsząd dają się słyszyć utyskiwania na ten temat. Rzecz to jest zupełnie naturalna. Gdy łań było mało, musiała panować między jeleniami konkurencya, stąd gody bywały ożywione, gdy do jednej interesującej damy, zalecało się po kilku gachów. Dziś lada szóstak urządza sobie harem, jaki uważa za stosowny i stoi przy łaniach cicho, nie chcąc zdradzić swojej obecności lub nie potrzebując straszyć rywali.

Jeleń, stojący z łaniami (Platzhirsch), robi zwykle bardzo mało hałasu, najwięcej ryczą samotniki, którym już celibat dokuczył i które szukają towarzyszek. A że dziś w górach te towarzyszki to tani i łatwy towar, więc każdy jeleń zaspokaja swoje potrzeby i także (może przez skromność lub dyskrecyę) drugim swoich powodzeń nie roztrąbia. Stąd też i rykowiska mamy gorsze. Trudno! każdy medal ma swoją odwrotną stronę — lecz gdy i ta nie jest najgorszą, cieszmy się nią, chociaż odwrotna.

Na zakończenie, reasumując wszystkie powyższe spostrzeżenia, dochodzimy do utworzenia następujących prawideł, służących do oznaczania wieńców jelenich. Przyjąwszy, że ilość odnóg (końców, gałęzi, pasem) jest rzeczą uboczną i podrzędną, a miarę daje tylko kształt wieńca, możemy ustanowić następujące zasady:

Szpiczakiem jest jeleń o tykach (rogach) pojedynczych, nierozgałęzionych, tworzących od róży do wierzchołka jeden jednostajny łuk.

Widłakiem jest jeleń, u którego z pnia głównego tyki wyrasta nad czołem odnoga oczna, lub też w tem miejscu znajduje się guz lub listwa rogowa, a sama tyka nie przestaje tworzyć jednego jednostajnego łuku w całym swoim przebiegu.

Szóstakiem jest każdy jeleń, posiadający w środku tyki kolano, a na odwrotnej stronie wgłębienie, dzielące główny łuk tyki na dwa pojedyncze łuki.

Ósmakiem jest jeleń, który oprócz dwóch łuków szóstaka posiada u wierzchołka tyki widełkę lub w jej miejscu guz, albo listwę rogową.

Dziesiątakiem taki, który przy zachowaniu wszystkich znamion ósmaka, ma na tykach lub tylko na jednej, w miejscu pomiędzy odnogą oczną a środkowem wgłębieniem szóstaka, nową odnogę (Eissprosse) lub też w jej zastępstwie guz lub listwę rogową.

Dwunastakiem jest każdy jeleń, którego tyki nawet wobec zupełnego braku bocznych gałęzi, posiadają dwa kolana i wgłębienia, a zatem składają się z trzech łuków. Dla profana jeleń taki będzie szpiczakiem.

Czternastaka odznaczają trzy zgięcia głównego pnia, dzielące go na cztery łuki.

Szesnastaka znamionują cztery wyraźne zgięcia pnia głównego, ilość końców jest rzeczą podrzędną.

Wyższe stopnie rozwoju należą już do wyjątkowych, pominąć je tu zatem możemy.

Widzimy więc, że jeleń, który przebył już pewne stopnie rozwoju, zachowuje w budowie rogów zawsze pewne ślady po przebytych stopniach i chociaż profan, nie doliczywszy się właściwych końców, oznaczy takiego jelenia niżej, aniżeli mu się to należy, badacz wtajemniczony w rządzące rozwojem rogów prawidła, nie da się wywieść w pole brakiem odnóg, lecz na podstawie nieomylnych znaków zawsze przyzna jeleniowi należący mu się właściwie stopień.

Czyli mówiąc przykładowo: jeleń, który był raz w życiu 14-takiem, nie przestanie być nim nigdy dla znawcy, choćby w roku następnym osadził mniejszą ilość odnóg, gdyż w budowie rogów zachowa charakterystyczne znamię 14-taka t. j. trzy kolana w pniu głównym, z czego wynika, że jeleń, przebywszy już raz pewien stopień rozwoju, nigdy już później na podstawie powyższych zasad przez znawcę do niższego stopnia zaliczonym być nie może.

Są więc dwie metody liczenia — metoda profanów (której niestety hołduje większa część myśliwych), i metoda naukowa, jedynie właściwa.

Pierwsza opiera się na liczeniu końców gdziekolwiek by one były i jest z gruntu fałszywą.

Druga, jedynie racyonalna, nie patrzy się zupełnie na ilość końców, lecz jako podstawę oznaczenia przyjmuje zasadnicze i charakterystyczne zmiany, jakim rogi jelenie w ciągu wieku ulegają. Te zmiany są stałe i niezmienne i od ilości odnóg zupełnie niezależne. W kołach myśliwych przeważy zapewne zdanie, że liczyć należy według liczby końców. To łatwo zrozumieć. Bo bolesnem jest dla myśliwego, gdy ubił według swojej rachuby szesnastaka, a uczony mu powie, że to tylko dwunastak, gdyż nie policzy wszystkich rozwidleń bocznych gałęzi, weźmie tylko w rachubę gałęzie, wyrastające wprost z pnia głównego i charakterystyczne znaki samegoż pnia.

Lecz ta krzywda się wyrównuje, bo może myśliwy zabić 12-taka według własnej oceny, który według teoryi jest najprawdziwszym 16-takiem, a ta druga pomyłka zdarza się częściej niż pierwsza, gdyż stare jelenie bardzo często pewnych odnóg nie osadzają i przez profanów oznaczone są niżej, niż im się należy.

Co do mnie, przyłączam się do naukowej teoryi liczenia, uważając ją jedynie za racyonalną, bez względu, o ile ona przyjmie się lub nie w naszych kołach łowieckich. Być może, że spotka się z zaprzeczeniem lub niewiarą. Być może? Ależ były czasy, gdzie nie chciano wierzyć, że ziemia krąży koło słońca, a nie odwrotnie, były czasy, gdzie nie wierzono, ażeby z małokalibrowego manlichera, można było ubić największego jelenia lub odyńca, a przecież jedno i drugie jest już dziś faktem dokonanym. Więc *dixi et salvavi animam meam.*

Jajkowce, 20 grudnia 1900.

PIGSTICKING.

Kartka z wrażeń myśliwskich

Przez ANTONIEGO Hr. STADNICKIEGO.

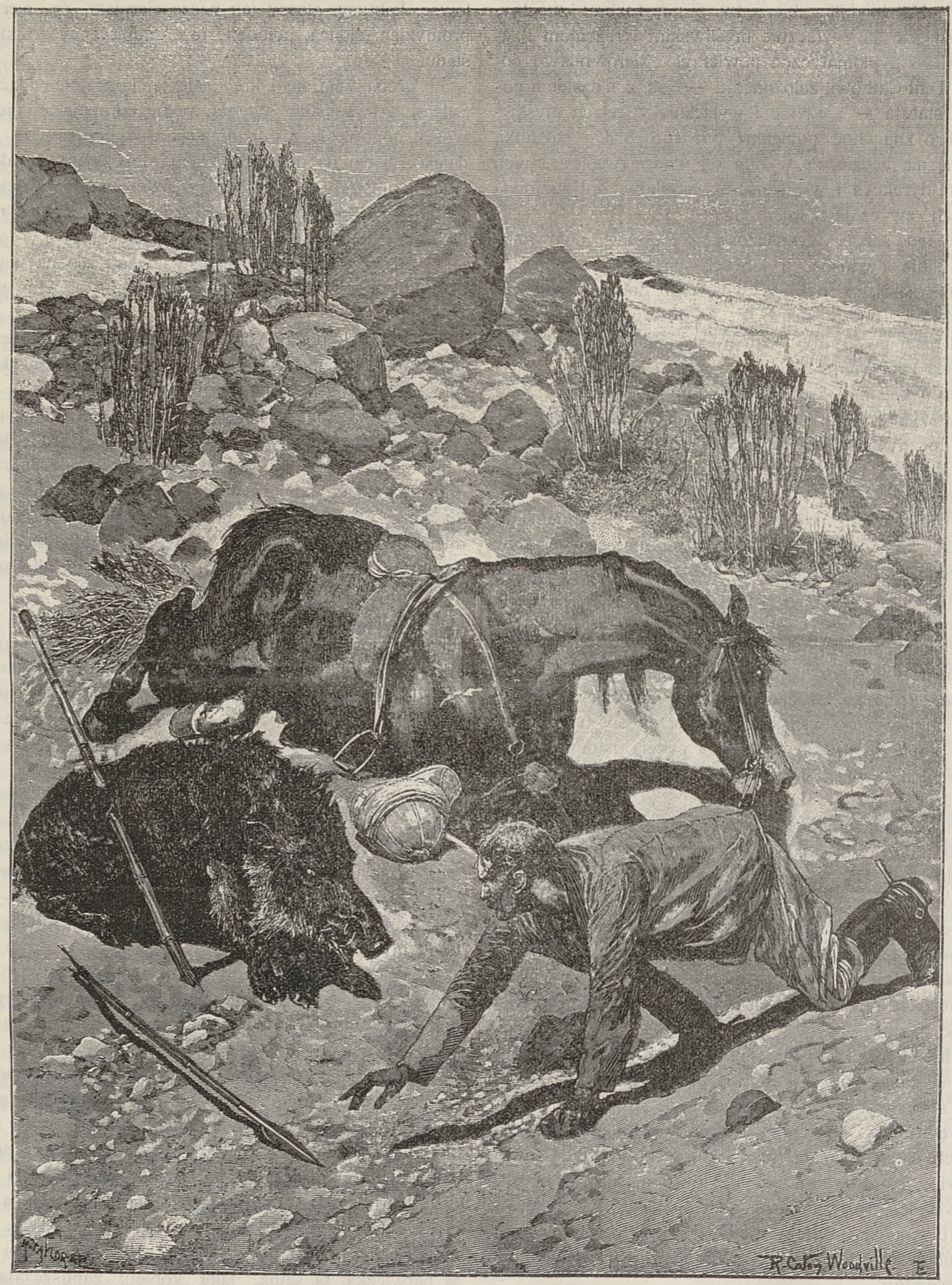
(Przedruk z „Czasu“).

Mojemu najdroższemu Ojcu.

Wśród wielu odmian myśliwskiej zabawy nie masz może łowów bardziej ciekawych, urozmaiconych, zajmujących nad pigsticking, polowanie konne z lancami na dziki.

Nie najmniejszym jego powabem jest jego rzadkość. O ile mi wiadomo, sport ten znany jest i uprawiany tylko w Indyach wschodnich i w Maroku, gdzie sułtan oddał niedaleko Tangeru, rezydującemu tamże ciału dyplomatycznemu obszar kilku czy kilkanastu tysięcy morgów na wyłączną rozrywkę i użytek w tym celu.

Czy w tej wielkopańskiej uprzejmości Jego Szeryfskiej Mości nie kryje się szczypta osobistego interesu? Czy w tym drobnym szczególe, tak jak w ważniejszych, nie łączy się i kojarzy pozorna dobroduszność z głęboką a nieuchwytną przebiegłością? Czy następca kordowańskich kalifów, obdarzając zagranicznych dyplomatów tym iście monarszym podarkiem, miał wyłącznie na myśli uprzyjemnienie im pobytu w swem państwie, czy też raczej chciał sobie przedewszystkiem zapewnić chwilę wytchnienia, wywabiając ich w gąszcze i knieje z dyplomatycznych i konsularnych kancelaryj, skąd go nękają roszczeniami i rokowaniami, które wypadają mu rzadko na korzyść, a nigdy po myśli. Oto pytania, które sobie stawia każdy, dłużej



Pigsticking. Groźna chwila.

w kraju bawiący i mimowoli przesiąknięty ogólną atmosferą podejrzliwości i nieufności, by najskromniejszy nawet pionek w tutejszym *giuoco del mondo*.

Odpowiedź na te pytania wkracza w dziedzinę polityki, a z tą rozstajemy się radośnie w bramach „Białego Tangeru". Na dni kilka bierzemy z nią rozbrat zupełny, żeby poświęcić się wyłącznie myśliwskim wrażeniom i zajęciom. Ciało dyplomatyczne powierzyło kierownictwo polowania Tent-Clubowi, założonemu — jak z naciskiem powtarzają statuta — „jedynie i wyłącznie w celach myśliwskich". Kto zna choć pobieżnie pozaeuropejskie stosunki, dziwić się nie będzie, że w nim rej wodzą Anglicy; z nich się składa dyrekcya i większość uczestników, oni stanowią o prawach, zwyczajach itd.

Na ten sezon wyznaczono 3 tygodnie polowania, jesienią, zimą i wiosną, z których pierwszy wypadł na 11 grudnia zeszłego roku. W wilię tego dnia, w niedzielę, wyruszyliśmy: młody baron F. z Wiednia, p. S. z Hawanny i niżej podpisany z austro-węgierskiego poselstwa, na miejsce zebrania.

Około godziny 2-ej po południu siadamy na koń: jako przewodnik służy nam służący, Arab, na mule objuczonym ręcznymi tobołkami i pękiem włóczni, przytroczonych w podłuż. Te włócznie są przedmiotem naszej osobliwej troskliwości.

Z bambusowej trzciny, z ołowianym ciężarkiem dla równowagi na jednym końcu i czworograniastem ostrzem z angielskiej stali w skórzanym pokrowcu, wyglądają jak cacka, a nie jak mordercza broń, jaką są w istocie. Sprowadza się je aż z Indyj, bo tylko tamtejsze drzewca są dość lekkie dla niewprawnych rąk i tylko ostrza hartowane w Sheffield zdołają bez nadmiernego wysiłku przebić dziczą szczecinę — trzeba zaś zaopatrzyć się zawczasu w kilka spis do odmiany, bo wszakże nie w przenośni tylko mamy kruszyć kopie, a kruszą się one i pękają istotnie łatwo, i zastąpić ich w puszczy niepodobna.

Jedziemy wolno, dla oszczędzenia końskich sił na nazajutrz i na dni następne; więc też 16 mil angielskich (około 26 klm.), które dzielą Tanger od obozowiska w Hawara, dłużą się bez końca. Zaraz za miastem tracimy widok na morze i zapuszczamy się w głąb kraju, drogą na której nie dojrzysz kolei kół wozowych, dotąd jeszcze niemal w Maroku nieznanych, złożoną z kilku ścieżek, naznaczonych śladem kopyt końskich, mulich i oślich oraz wielbłądzich racic, które dźwigają na grzbiecie wszystko, co tylko przenieść można.

Odrazu rozczarowanie spotyka tego, kto chce mieć widoki nie takie, jak je Pan Bóg stworzył, ale jak je ten lub ów sobie wyobrażał czy wymarzył.

Wędrujemy wśród obłych pagórków, pośród pastwisk pokrytych nikłą, pożółkłą trawą, którą skubią stada kudłatych owiec, chude i nędzne byki płowej maści; po głazach i rumowiskach rozrzuconych gdzieniegdzie, wspinają się kozy. Tu i owdzie sterczy rzadka ścierń potężnej kukurudzy, obok czernieje świeżo poorana rola i zielenieje ruń zeszłej oziminy.

— Ależ ten afrykański krajobraz możnaby bez zmiany przenieść do Czech lub Moraw — zauważa nie bez pewnej racyi wiedeńczyk. Zapewne — i bardziej jeszcze może do Galicyi, niż na Morawy, a obdarci pastuchowie, żebrzący o pieniądze i zapałki, licho sklecone chałupy, nadzwyczaj prymitywny zaprzęg i pługi a raczej sochy, które napotykamy przy robocie, dopełniają podobieństwa.

Ale bo też słońce, które tu bodaj bardziej niż gdziekolwiek daje barwom blask a kształtom wyrazistość, skryło się tego dnia (poraz pierwszy od miesięcy) za obłoki, i w tem niezwyczajnem, szarem oświetleniu drzewa oliwne wyglądają jak wierzby, krzaki karłowatej palmy jak jałowce, kaktusy, aloesy jak nasze cierniaki. Za pierwszym promykiem słońca, północne te reminiscencye nikną bez śladu.

Droga wije się i kręci, ale jej końca nie widać; nasz Selam, na wszystkie pytania, pełne europejskiej niecierpliwości, odpowiada z muzułmańskim spokojem, że jeszcze daleko, siedzi na mule tutejszym obyczajem po damsku, czyli z nogami zwieszonemi po jednej stronie i umyka równym, szparkim krokiem tak szybko, że trzeba nam go od czasu do czasu cwałem doganiać.

Po trzechgodzinnej jeździe ukazują się na widnokręgu białe stożki namiotów i o zmierzchu stajemy w obozowisku.

Nikt, jak po inne lata, nie podążył tym razem na *pigsticking* swoim dworem, z własnymi namiotami i kuchnią, więc tylko tangierskie hotele i nieodzowny *Cook*, podjęły się pomieszczenia i żywienia myśliwych. Służba czeka w namiotach rozbitych na pagórku; wśród krzaków i haszczów morza po ciemku nie dojrzeć, ale potężny, jednostajny szum fal zwiastuje jego pobliże. Konie uwiązane do gałęzi lub spętane za przednie nogi, chrupią już jęczmień (owies tu nieznany) w workach lub na ziemi — przykryte derami, pod gołem niebem mają spędzić kilka dni i nocy.

Podczas obiadu zwykłą myśliwską rozmową, w której przeszłość przedstawia się w formie wspomnień i anegdot, a przyszłość w postaci prognostyków i zawodnych zwykle przepowiedni, przerywa szelest deszczu, siekącego w płócienne ściany i dach polowej sali jadalnej; zasępiają się oblicza i humory. Najdawniejsi uczestnicy łowów podejmują niewdzięczną rolę wróżbitów i obiecują po znakach, „widnych strzeleckiemu oku", solennie pogodę nazajutrz, ale niedarmo jesteśmy u schyłku wieku sceptycyzmu, nikt nie wierzy wróżbitom i wróżbom, które mają nam nieść pociechę stanowczo *trop tard dans un monde trop vieux* i te proroctwa zdołają może odwrócić chmury i słotę na polowanie, ale nie wracają nam otuchy i swobody myśli na razie.

W tych posępnych zapatrywaniach utwierdza nas złowrogi świst wiatru i głuchy łoskot wzmagającej się ulewy, która nas do snu kołysze, ale o dziwo! wbrew oczekiwaniom zapowiedź się spełnia. W poniedziałek śliczny, słoneczny dzień rozwesela stroskanych i wątpiących.

O ósmej zrana zbiera się na obozowym majdanie łowiecka drużyna. Myśliwi w butach, ostrogach i grubych kabatach radzą i czekają rozkazów, służba przeprowadza osiodłane konie, wypoczęte, raźnie parskające i trzyma w pogotowiu lance, błyskające grotami do słońca. Ogary i białe charty, którym pomalowano (dla nadania im siły i wytrwałości) łapy, nosy, końce ogonów i podgardla żółtą barwiczką, tą samą, jaką kobiety zapuszczają włosy i paznokcie, skowyczą i rwą się na smyczy. Żaden z uczestników polowania nie ma na sobie broni palnej, surowo wzbronionej przepisami, za to nagonka 50—60 Arabów, Berberów, Kabylów, uzbrojona w samopały, prochem nabite, z których nieustannie mają pukać.

Najwybitniejszą wśród nich postacią jest ich przewodnik, Hadź Abdallah. Gruby jak tur, pleczysty, z bro-

dą starannie wygoloną na podgardlu i wieńczącą cienkim pasem policzki i dolną szczękę, w krasnej bawełnianej mycce na ogromnym wygolonym łbie, w burej *czilawie* czyli bundzie z odwiniętym kapturem i w różowych hajdawerach z sajetu czy jedwabiu, z których wyglądają łydki wprost nieprawdopodobnych rozmiarów i nogi obute w żółte safianowe pantofle, siedzi w tureckiej kulbace na ogromnej również, białej mulicy, dla której widocznie nie pierwszyzną ta wyprawa i która przyzwyczajona snać do tuszy i ciężaru swego jeźdzca, dźwiga go bez wysiłku, ale i bez wesołości, i zdaje się, jeżeli nie na wszystko gotowa, to na wszystko przygotowana i zrezygnowana. Przed rozpoczęciem akcyi łaje on wszystkich, widocznie na zapas, tubalnym głosem wydaje rozkazy; niewyraźną wymowę, bo z całego uzębienia został mu tylko jeden ząb nieborak, uzupełnia żywa gestykulacya ręki, jak łapa niedźwiedzia i wskazującego palca, szerokiego na trzy palce zwyczajne, którym wyznacza kierunek.

Reszta nagonki, to chłopy i chłopcy, po większej części Berbery o dzikiem wejrzeniu, smagłej, nieraz aż brunatnej cerze, czarnych, twardych jak szczeć włosach i brodach, w burych i szarych czilawach, w przepaskach z postronków na głowie, sandałach na nogach i słomianych plecionkach na goleniach, chroniących od cierni i od kolców.

Nieuniknione dziś amatorskie aparaty fotograficzne chwytają na klisze ten barwny i jedyny w swoim rodzaju obraz, aż wreszcie naganiacze wsuwają się jeden po drugim ścieżką w gąszcz, pod wodza wciąż rozprawiającego i wymachującego rękoma Hadź Abdallaha.

Po chwili na nas również przychodzi kolej. Dosiadamy koni, ten i ów podciąga popręgi, poprawia coś w rynsztunku; lance na komendę zwracają się ostrzem do góry i stępo ruszamy na stanowisko.

* * *

Drużyna myśliwska składa się z 9 uczestników. Przodem jedzie Mr. P., dyrektor polowania, na karym koniu, białonóżce, o szlachetnych kształtach, rasowej głowie i delikatnych uszkach, któremi strzyże nieustannie, z ogonem „jak fontanna“, utrzymanym i wyczesanym, jak tylko koń wojskowego wyczesany być może.

Mr. P. w żółtych palonych butach i skórzanych białych spodniach, były pułkownik 15 pułku ułanów w Indyach Wschodnich, średniego wzrostu, krępy, barczysty, o szpakowatych włosach, orlim nosie i blado niebieskich oczach, jest uosobieniem siły, energii i przedsiębiorczego ducha, zwróconego do rzeczy praktycznych. Żaden cień intelektualizmu, ani książkowych zajęć nie zamąca wspaniałej organizacyi fizycznej tego pogromcy 44 tygrysów (z tych 4 *man-eater'y*), panter, bawołów i innych jeszcze zwierząt, mających „kły, rogi, pazury“, że zaś ma być równocześnie najpierwszym graczem w polo z całej Wielkiej Brytanii, przedstawia typ człowieka, w którym sport dorósł bohaterskich wyżyn i stał się celem jego życia.

Dalej na dużym siwym koniu, noszącym się wysoko i z fantazyą, jedzie wysmukły i wykwintny, o pańskich rysach, postawie i stroju Hon. H..., wygląda na wielkiego pana i jest nim w istocie, mimo braku herbu i tytułu, będąc młodszym synem angielskiego lorda, którego pałac w Londynie, starą rodzinną siedzibę, poleca każdy Baedecker ciekawości podróżnych.

Dwaj bracia S... służą nam wszystkim za tłómaczów w znoszeniu się z Arabami, o ile ci nie mówią po hiszpańsku. Nietylko zresztą mową i znajomością języka stanowią oni łącznik między Europejczykami a miejscową ludnością; tu wychowani i zamieszkali zrośli się na długich wycieczkach myśliwskich z pojęciami, zwyczajami, trybem życia tubylców i przedstawiają ciekawy typ cywilizowanych ludzi, wracających poniekąd do stanu dzikości. Nikt nie przypuszczałby, widząc ich gwarzących za pan brat przy wieczornem ognisku z nagonką lub uganiających w arabskiej czilawie, z krasną przepaską przewiązaną na kapturze, z prostym osikowym oszczepem w ręku, że to są synowie lady P... która wraz z mężem reprezentowała na dworach europejskich królowę Wiktoryę i podczas wojny turecko-rosyjskiej grała zręcznie ukrytą, ale wybitną rolę polityczną. Matka pozostała l a d y l i k e, synowie zbliżają się do typu Afrykanderów, o których tak głośno tymi czasy. — Na kształt jeźdźców są ich konie — skarogniade, rosłe, ogniste bachmaty, z rozwianą grzywą i rozwartemi chrapami, zaniedbane i na pozór ciężkie, ale wytrzymalsze i sprawniejsze od wszystkich naszych podjezdków.

Na cienkiej, anglizowanej szkapie, kasztanowatej maści, drepce amerykański malarz, sam równie szczupły i drobny, z małą czarną bródką, w okularach na czarnej tasiemce, założonej na ucho i z ogromnym notatnikiem rozpierającym boczną kieszeń; przedmiot uszczypliwych uwag i żartów swych towarzyszy, a jednak zapalony i doświadczony myśliwy, ktory też — jeden z nielicznych — mógł poszczycić się pod koniec polowania zbroczoną lancą i skłótym warchlakiem. Na niepokaźnym dereszu jedzie z kolei starszy już jegomość, suchy, łysy, na pół po miejsku ubrany w kubrak tego samego koloru, co maść jego wierzchowca, siedzi na nim niebardzo pewnie i niezręcznie z lancą sobie poczyna — jest to urzędnik z londyńskiego Stock-exchange a jak poważnie i sumiennie musi w biurze pracować, tak poważnie i sumiennie oddaje się narodowej namiętności do sportu.

Z reszty uczestników w pigsticking'u nikt nie należy do anglo-saskiej rasy.

Baron F... wysoki o jasnych włosach, niebieskich oczach, garbatym nosie i gładko wygolonem obliczu przedstawia doskonale moralny i fizyczny typ *Cavalier'a*; nieśmiały, nieco sztywny, nadzwyczaj we wszystkich szczegółach *correct* i bardzo dbały o tę poprawność, jest trochę pod urokiem angielszczyzny, nie przekracza jednak w swej anglomanii granic śmieszności; po sposobie, w jakim siedzi w siodle i zażywa swego gniadego, najemnego mierzynka, pozbawionego indywidualności, jak wszystko, co z rąk do rąk nieustannie przechodzi, poznać można natychmiast rezerwowego oficera austryackiej kawaleryi.

Henryk S... Hiszpan, jest przepysznym okazem południowej piękności męskiej, gibki i kształtny, o posągowych rysach i postaci, w narodowym kapeluszu z szerokim krajem, najmniej może z nas wszystkich biegły w jeździe konnej, ratuje się w trudnych okolicznościach z niedbałym wdziękiem sobie właściwym i na oślep, ale z fantazyą skacze przeszkody i cwałuje po wertepach na doskonałym jabłkowatym wałachu, którego równie jak siebie samego nie oszczędza.

Zamyka wreszcie pochód niżej podpisany na karym ogierze bez odmiany; choć już przywykły do obcych stron i ludzi, przecież tym razem nieco osamotniony, przynajmniej duchowo, w tem dla polskiego szlachcica bądź co bądź niezwykłem towarzystwie i otoczeniu. (D. n.)

Pamięci
KSAWEREGO z SIECINA KRASICKIEGO.*)

Próżno śledzę Cię do koła
Łzawemi oczyma,
Próżno serce usty woła,
Nie ma Cię już, nie ma!...

Z skał wyniosłych, gdzie Bieszczady
Cypliskami straszą,
Już nie będziesz w dzika ślady,
Gnał z młodzieżą naszą!

Gdzie Cię rumak żartkonogi
Niósł na połoninę,
Już nie trafisz swemi drogi
Do orłów w gościnę!

Tyś to lubiał wraz z drużyną
Stare zwiedzać lasy,
Marząc, czy nam nie nadpłyną,
Staropolskie czasy.

Poprzed chwilą w naszem kole
Naszą czcią bogaty,
Tyś, sędziwy nasz sokole,
W lepsze wzleciał światy.

Tam się w starym Boga domu
Wstaw za naszym losem,
Nieś pociechę głosem gromu,
Lub Szczekocin głosem!...

Naszym ranom trza ochłody,
Bo tu nam tak ciasno,
Choćby przyszło te swobody,
Krwią zakupić własną.

Ty nadziei nie daj tracić
W tę dobę zwycięską,
Choćby przyszło ją opłacić,
Maciejowic klęską.

A nam, bracia, nie przystało,
Jego płakać stratę,
Gdyż pracownik, jakich mało,
Poszedł po zapłatę.

Oj, zazdrośćmy jego doli,
On zgasł pełen chwały,
On swobodny — nam niewoli
Gorzkie łzy zostały.

Dubiecko r. 1844.

Aleksander z Siecina Krasicki.

---

*) Wiersz ten otrzymaliśmy z następującym listem:

Szanowna Redakcyo!

Wierny czytelnik *Łowca* przesyłam do druku piękny wiersz Aleksandra z Siecina Krasickiego. Ksawery Krasicki, zmarły 25. kwietnia 1844 r., towarzysz broni Księcia Józefa Poniatowskiego — śpiewa o nim Wincenty Pol w Mohorcie. Do śmierci mieszkał w zamku liskim, polował w górach sanockich na grubego zwierza, zwykle konno z sieciami i ogarami. *Józef Skarbek Borowski.*

Z wdzięcznością dla szanownego naszego korespondenta, a rzeczywiście dawnego i wiernego przyjaciela *Łowca*, drukujemy ten wiersz ku czci tego rycerza — łowca, który swojem opowiadaniem natchnął poetę do stworzenia arcydzieła, a o którym tradycya przechowała całe mnóstwo przepięknych wspomnień. Rok, w którym wiersz ten pisany, tłumaczy jego nastrój.

W r. 1899 umieścił *Łowiec* w swoich łamach jedno takie wspomnienie o owym pełnym tężyzny i charakteru towarzyszu kawaleryi narodowej, spisane barwnie sympatycznym piórem p. Stefana Preka. *Redakcya.*

Z opowiadań myśliwskich.

Gdyby nie wstręt do pióra u każdego myśliwego, ileżby nasz kochany *Łowiec* miał materyału do drukowania? Te gawędy myśliwych po polowaniu, przy kominku i fajeczce, to skarbnica opowiadań, która z dymem fajki w kominek ulatuje i wiatr roznosi ją po przestworzu bez pożytku dla pamiętników łowieckich. Młoda generacya myśliwych w innych warunkach żyje i w innych poluje, nie zna ona już tych dziewiczych lasów, jakie jeszcze lat temu czterdzieści u nas były, w których się z psami tylko polowało a o czem niejednokrotnie były w naszym *Łowcu* wspomnienia starych myśliwych, tęskniących za minionymi czasy. Zdaje mi się, że nie tak nam chodzi o te psy i przeganianie ich i zwierzyny po górach i wertepach, jak o minioną niepowrotnie młodość, nie liczącą się z żadną niemożliwością. Ileż bo to nocy spędziło się na górach, w kolebach pastuchów owczarskich, wyczekując wilków, podkradających się do koszar owczych. Na podobne noclegi może się tylko młodość zdobyć. Ile to w górach wycierpiało się głodu przy ciągłem gonieniu za zwierzyną. Raz pomnę, w torbie brakło jedzenia, do domu daleko — co tu robić? Każę nałożyć ogień i sprawić zabitego jarząbka i na patyk nasadzić, gajowy go opłukał pięknie, nałożył na patyk i na boku położył, czekając na ogień; psy nasze tak zgłodniałe, jak i my, dobrały się do jarząbka, a gdyśmy to spostrzegli, była go już tylko połowa i tę opłukaliśmy, upiekli i bez soli zjedli.

Z jaką to chciwością słuchało się opowiadań myśliwskich starych łowców, dusza rwała się do szukania przygód. Raz pomnę u naszego proboszcza byłem ze śp. Ojcem moim. Gdy starsi sobie gwarzą, słychać dzwonki na dworze, ktoś zajechał, proboszcz wygląda przez okno i powiada: „Ksiądz Czajkowski przyjechał". Wchodzi tedy ks. Czajkowski, a po zaznajomieniu się z moim Ojcem pokazuje się, że tak się jąka, iż trudno z nim rozmawiać. Ojciec mój zdziwiony, zapytuje, jak mógł z taką ciężką mową święcenia kapłańskie otrzymać i wtedy to on zaczął historyę rozpowiadać, które to opowiadanie nie szło tak gładko, jak ja je tu opowiem a jednak słuchało się go z chciwością.

Otrzymałem — powiada ksiądz — parafię w górach pod Beskidem i żyłem na niej spokojnie lat parę, wtem

sąsiednia parafia osierociała przez śmierć proboszcza swego i mnie polecono zaopatrywać parafię tę aż do obsadzenia jej nowym proboszczem — ja też sumiennie obowiązek ten wypełniałem. Wiadomem jest, że górskie wsie są niezmiernie rozległe, po wąwozach chaty porozrzucane i przeprawa od jednego końca wsi do drugiego, trwa nieskończenie długo. Jeździ się po drogach kamienistych i wybojach, a w zimie po zaspach nie do przebycia, a dla uniknięcia tej niewygodnej jazdy, wyszukują sobie ludzie ścieżki, skracające przestrzeń i to na górskich konikach; i ja też takiego pewnego konika miałem, na którym tę drogę do sąsiedniej wsi często robiłem. Przyjeżdża chłop na koniu wieczór z sąsiedniej parafii i błaga, aby do umierającego ze św. Sakramentami jechać, a było to ku końcowi stycznia, mróz siarczysty na dworze i noc widna, nie było rady, tylko trzeba było spieszyć. Powiadam jednak do posłańca, że przez górę pojedziemy; jedziemy tedy; wyjeżdżamy na górę; koń mój młody naraz stanął jak wryty i w ziemię zakopany i ani w tył ni wprzód ruszyć nie chciał, parskając tylko nozdrzami. Mój towarzysz powiada do mnie: „jegomość, wtikajmo, bo wowcy łeżut", zawrócił swego konia i pojechał drogą, którą przyjechaliśmy; byłbym i ja to samo zrobił, gdyby nie mój młody koń, który jakby skamieniał na miejscu. W śmiertelnym strachu, zawinięty w moje długie futro wilcze, zapomniałem zsiąść z konia i piechotą pognać za towarzyszem podróży mojej, tymczasem wilki zwietrzywszy ponętę, poczęły się zbliżać ku mnie; w mgnieniu oka sytuacyę pojąłem, zdejmuję futro moje i obracam je włosem na zewnątrz, ledwie to uskuteczniłem, już wilcy dobierają się do mego konika, z którego zsunąłem się a położywszy się skulony obok niego, polecałem duszę Panu Bogu, tuląc św. wijatyk koło siebie.

Wilki, dopadłszy konia mego, zabrały się do niego nie na żarty. Biedny wierzgał, kwiczał i w śmiertelnej trwodze bronił się jak mógł, na co ja otulony w wilczurę patrzałem, jak również i na to, jak każdy z wilków, nim się dobrał do mego konika, obwąchał mnie, podniósł tylną nogę i nademną zwyczajem psiego rodu, oddał hołd naturze, który mu przebaczyć musiałem. Jak długo tam leżałem, nie wiem, bo i przytomność straciłem, a obudziłem się dopiero w trzy tygodnie po tej scenie i to na mojej plebanii, przebywszy straszny tyfus, od którego to czasu mowę moją utraciłem.

Baj baju, powie niejeden z czytelników moich, będzie wyszukiwał niejedne niemożliwości w tym wypadku, lecz gdy weźmie na uwagę, że słuchałem historyi tej jako 10-letnie dziecko a było to przed laty 40-tu, to powie sobie: to dziecko już wtedy zdradzało, że będzie kiedyś piastować jakąś godność w Towarzystwie łowieckiem i będzie się łowiectwem interesowało, kiedy z taką cierpliwością tak długiej historyi jąkały potrafiło wysłuchać i zapamiętać ją sobie.

Mam też prośbę do moich łaskawych czytelników, aby nie tylko darowali mnie bajanie, ale żeby każdy z nich jakąś historyjkę naszemu kochanemu *Łowcowi* przesłał, aby nie narzekał on na nasz wstręt do pisania.

Wysuczka 8. stycznia 1901.

Czarkowski-Golejewski.

Korespondencye.

Wysuczka, d. 14. stycznia 1901.

W dniach 10, 11 i 12 stycznia odbyło się polowanie w Myszkowie, własności p. Maryana Kęplicza; dwa tygodnie przed polowaniem otrzymałem uprzejme zaproszenie właściciela i przyznam, iż szczerze się cieszyłem z tego, że sąsiad mój o mnie nie zapomniał i że będę na pięknem polowaniu na dziki. Zbliżył się dzień wyjazdu do Myszkowa, gdzie miałem po południu ze szwagrem moim, Kazimierzem Rudnickim, wyjechać, w tem dają mi znać, że u mnie w Wołkowcach otropiono odyńca, szwagier kartką uwiadomiony natychmiast przyjeżdża, i po lekcyach syna mego, zabrawszy go z sobą, do rewiru jedziemy, gdzie już nagonka czekała; mego młodego myśliwego kazałem postawić na linii na tropie, sam zaś ze szwagrem poszliśmy na flankę. Słyszę strzał na flance, po chwili głos szwagra, udający trąbkę myśliwską; biegnę do niego i podziwiam ogromnego odyńca leżącego i ostatniemi ruchami żegnającego ten padół płaczu, lecz pełnego extazy nad syrenim głosem szwagra, umilającego mu przejście do lepszej przyszłości. Podziwiamy obydwa wiek i piękność kształtów wielkiego odyńca i wtem słyszymy na linii dwa strzały. Jeden odyniec był otropiony, ten padł, zatem strzały mego syna mogły być tylko do lisa. Biegniemy na linię i oto przedstawia nam się piękny widok dzieciaka 15º letniego, rozpromienionego radością, pomazanego na twarzy farbą dziczą, a u nóg jego wielki odyniec, trafiony w samą komorę dwoma kulami, jedną obok drugiej. Strzelał z podwójnego expresa, z magazynu broni p. Dzikowskiego.

Głowę z tego pierwszego ubitego dzika posłał natychmiast do wypchania.

Po niespełna półgodzinnem polowaniu jechaliśmy do domu z dwoma ogromnymi odyńcami ku radości żydków borszczowskich, biegnących za nami i krzyczących: „kik, a Haser!"

Zostawiwszy w domu mego malca z jego radością i odyńcami, spieszyliśmy ze szwagrem do gościnnego Myszkowa, gdzie przybywszy wieczór, zastaliśmy już całą drużynę myśliwską.

Dwór w Myszkowie, jak wszystkie stare polskie dwory, ma ściany elastyczne, rozdymające się przy napływie gości; a o gościnności gospodarza domu i Matki jego, z Jełowickich Kępliczowej, pisać, to znaczyłoby wychwalać to, co jest wrodzonem całej naszej polskiej szlachcie, tj. duszę, serce i dom na usługi sąsiadów i przyjaciół.

W pierwszym dniu polowania wyruszyliśmy rano o $8^{1}/_{2}$ g. do kniei a po powrocie do domu, na rozkładzie było 6 dzików, 2 kozły, 1 lis i 26 zajęcy. Królem polowania dnia tego był i pozostał nim na całe trzy dni szwagier mój, Kazimierz Rudnicki, który trzema celnymi strzałami zabił dwie wielkie samury i warchlaka, humor też naszego króla był znakomity a manifestował się, jak każda jego radość odśpiewywaniem dwóch pieśni z jego repertuaru tj. „Gott erhalte" albo „Hej bracia opryszki".

Drugiego dnia przed polowaniem zaniosłem do tronu królewskiego uniżoną prośbę, by raczył nie zapomnieć, że w królestwie jego są myśliwi, którzy pod wspólnym sztandarem łowiectwa krajowego nie służą i ażeby raczył wglądnąć w ten niewłaściwy stan i zaradzić temu. Król tedy, przyjąwszy łaskawie prośbę moją i z energią cechującą całe życie jego, przeprowadził przegląd towarzyszy bez od-

znak galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego i przedstawieniem im sprawy, pozyskał ich jako członków dla Towarzystwa, a było takich sześciu. W dniu powyższym zabiliśmy 6 dzików, 7 kozłów i 34 zajęcy.

W dniu trzecim i ostatnim polowania padł lis, kozioł i 22 zajęcy. Razem tedy padło 12 dzików, 10 kozłów, 2 lisy i 80 zajęcy. Nieodpowiednia pora, bo kopny śnieg i wielka okiść na drzewach, była powodem, że głucho w lesie i zwierzyna drobna, pod krzakami siedząca, nie wychodziła na linię strzelców, a ruszona przypadkowo z legowiska, raczej wracała na nagonkę, bo tropów zwierzyny bardzo wiele i knieja myszkowska jest jedną z najpiękniejszych tu w okolicy.

Gospodarz pasyonowany myśliwy, kochający zwierzynę, dba o nią i karmi w ciężkich czasach, jest jej dlatego bardzo wiele.

Polowanie przez samego gospodarza prowadzone szło we wzorowym porządku, z czego się wynosiło wrażenie, że to człowiek sprężysty, energiczny, który nie lubi rozkazu dwa razy powtarzać, rozkaz da w domu, bez krzyku i hałasu, a myśliwy idzie ze ślepą wiarą, że tam konfuzya ze strażą leśną i nagonką jest wykluczoną. Trzy dni miłe, pogadanki wieczorne i wiścik, przeplatany od czasu do czasu przy szlemie piosnką Lisowicką „Wędrowały szewcy“ zeszły nam jak jedno mgnienie oka a każdy z towarzyszy opuszczał gościnny dom w Myszkowie z życzeniami, by gospodarz jego dał swej zacnej Matce sposobność wychowania wnuków w tych samych cnotach staropolskich, w jakich sam wychowany. *Czarkowski-Golejewski.*

Z nad Zbrucza.

Ustaloną już była od dawna reputacya kniei Giermakowieckiej, hr. Baworowskiego, jako pierwszorzędnej we wschodniej Galicyi. Tegoroczne polowanie podobno stanowczo na jej skroń wkłada koronę. Pomijając wzmiankę powtarzającą się aż do znudzenia we wszystkich sprawozdaniach o gościnności staropolskiej gospodarza itd. jak gdyby ta gościnność była jakiemś curiosum w naszych polskich domach, ograniczamy się na zestawieniu cyfer, gdyż te są najwymowniejsze:

Polowano dni 4 w strzelb 12.

20. stycznia, rewir Skornia 1 rogacz, 7 lisów, 367 zajęcy.
21. „ „ Morawiniec 5 rogaczy, 1 lis, 408 zajęcy.
23. „ „ Glinka 3 dziki, 5 rogaczy, 2 lisy, 248 zajęcy.
24. „ „ Horoszowa, 91 zajęcy.

Razem 3 dziki, 11 rogaczy, 10 lisów, 1113 zajęcy na strzałów 2012.

Dodać należy, iż cała ta zwierzyna padła li tylko w lesie, żadnych polnych miotów nie brano.

Zdaje mi się, iż żadna inna knieja we wschodniej Galicyi nie potrafiła dotąd pochwalić się podobnym wynikiem. *L. Starzeński.*

Starebrody, d. 14. stycznia 1901.

Polowanie w Firlejówce u pana Oskara Schnela, odbyło się 12 stycznia 1901 r. z przeszkodami, bo na szesnastu zaproszonych myśliwych, przyjechało sześciu, gospodarz siódmy. Na prędce uzbrojono kilku strzelców, ale z tych nie było wielkich korzyści. Ot, dobrze i to, bo zajęli flanki. Pierwszy miot zaczął się o 10 rano; był to kociołek z laskiem po środku, dość gęstym. Zwykle tam brano dwa mioty — teraz go razem wzięto w kocioł. Plan był wyśmienity na szesnastu strzelców, ale i tak świetnie się udał, 14 zajęcy i lis tam padł.

Z pięćdziesiąt zajęcy niestrzelanych poszło w pole i jeden lis. Zabawa była doskonała. Wszystko widać — strzały były bardzo gęste. Szkoda, że nie liczono — jeden myśliwy strzelił czternaście razy — potem na sanie i do domu, bo to po drodze do lasu — śniadanie krótko trwało i dalej. — Staliśmy jeden od drugiego o 200 kroków miejscami.

Strzałów bez liku — aż nie stało ładunków, i musiano posyłać do domu — ale polowanie ślicznie się udało: 4 rogacze, 2 lisy i 80 zajęcy w pięciu godzinach, a zatem w porównaniu z rokiem zeszłym rezultat można nazwać świetnym.

Muszę tu przestrzec towarzyszy przed bezdymnym prochem, a raczej przed ładunkami z c. k. fabryki Wöllersdorf, na które mnie namówił stary i dobry myśliwy, miły towarzysz X. (nie chcę go kompromitować). Wprawdzie tylko sto sprowadziłem, ale pokazały się do niczego. Miałem tylko te ładunki w Firlejówce, a że na śniegu, więc dobrze wypróbowałem. I tak zaraz w kociołku strzeliłem na 50 kroków do zająca dwa razy. Słuchy przyłożył i poszedł zdrów — do drugiego na 40 kroków, turzycy masa, farby nic, i tak ze dwieście kroków przeszedł i zaczął kółka robić i położył się. Po miocie dojechałem saniami, i w miejscu go strzeliłem na 20 kroków, przewrócił się, i zaczął kopać skokami. — Naturalnie, że potem w lesie wszystkie zające na pięćdziesiąt kroków przepuszczałem, strzelałem na 30 do 40 i te jeszcze szły i dopiero nagonka dołapywała, albo dwa, trzy razy musiałem jeszcze do nich strzelać. Zabiłem 13, a wystrzelałem 25 ładunków i już nigdy tymi ładunkami strzelać nie będę. Są bardzo ładne, czerwone, ślicznie zapakowane po 10 w czerwonym pudełku, kosztuje 20 k. sto i nic nie warte. Pierwszy raz zabiłem nimi szczęśliwie trzy zajęce i wtedy napisałem do pana Przedrzymirskiego, że przecie można nimi zabić, ale teraz przeprosiłem i odwołałem moje zdanie o nich; n. b. moja strzelba na 50 kroków bije śmiertelnie, i jak to mówią, z dymem zwierzyna pada, a tu wprawdzie bez dymu, ale idzie. Więc zabrałem się do robienia moich ładunków, wprawdzie taniej, bo 8 k. sto, ale można strzelać i zabić.

Polowanie w Firlejówce doskonale prowadzone, — prędko — saniami się podjeżdża, nie wolno głosu podnosić, bo sarn bardzo wiele, i prędko się wybierają w pole. To też po polowaniu można po dwadzieścia ich widzieć na polu, jak patrzą, kiedy polowanie się skończy, ażeby wrócić do domu — gdzie karma na nich czeka. Gospodarz sam prowadzi polowanie bez zarzutu. Ale nie tylko w lesie myśli się o karmie. Słońce zachodzi, polowanie skończone, nocnych miotów nie bierze się, zawsze sarny są bezpieczniejsze, a przytem 12° mrozu — jedziemy do domu. Dom miły, ciepły i obiad!... doskonały, i gospodarstwo gościnni. Żałujcie, kochani towarzysze, ci, którzy mieli być a nie byli — bo to powiadam wam, rozkosz Firlejówka. Ponieważ ryby podają się w *Łowcu* — wprawdzie osobny dział — więc powiem, że w Firlejówce podano szczupaka, który ważył 15 funtów. Ot, zacząłem mówić o szczupaku, a zapomniałem dokończyć o polowaniu — królem polowania był p. Jasiński, bo zabił dwa lisy i 15 zajęcy, potem dwóch, p. Kazimierz Jaworski i p. Torosiewicz. Zabili po dwa rogacze i kilkanaście zajęcy —

następnie ja z 13 zającami — a mogłem być królem, bo i lisa prześlepiłem. Naturalnie coś przeszkodziło. — Coś! co — ale lepiej nic nie mówić, bo staremu zawsze przeszkoda się znajdzie — jak spudłował lub prześlepił! Ot, dziękuję kochanemu gospodarzowi i za to — i proszę na przyszły rok o mnie pamiętać n. b. jak dożyję. Zawsze wierny towarzysz i delegat

M. Tyszkiewicz.

Brody, 13. stycznia 1901.

Wypełniając obowiązek delegata — posyłam sprawozdanie z dotychczasowych polowań w powiecie brodzkim, o ile z takowych otrzymałem dokładne wiadomości, lub sam brałem udział.

I. W lasach Łopatyńskich, właściciele spadkobiercy śp. Kazimierza Młodeckiego, polowano w dniach 17, 18 i 19. Grudnia 1900 w 15 strzelb. Na 384 strzałów padło: 2 dziki, 9 kozłów, 5 lisów i 138 zajęcy — pora dżdżysta, na czarnej stopie.

II. W lasach Suchowoli, właściciel pan Schumer, polowano 10. stycznia w 12 strzelb — ubito: 13 zajęcy 3 lisy samice.

III. W Brodczyźnie pod zarządem dyrektora dóbr p. Ignacego Frenkla odbyły się dotychczas w tym sezonie tylko trzy polowania — mianowicie:

1. dnia 24. grudnia 1900 w 12 strzelb — padło 27 zajęcy, kozioł i lis.

2. dnia 11. stycznia — na dziki — w każdym miocie pierwszy strzał do dzika — upolowano w 18 strzelb: 4 dziki, kozła niezwykłych rozmiarów, prawdziwy „kapitalbock" i 17 zajęcy.

3. dnia 12. stycznia, na zające w 16 strzelb: było na rozkładzie: 55 zajęcy i 3 lisy — kozły uszły niestrzelane — zajęcy byłoby padło daleko więcej, ale gąszcze sosnowe w dwóch miotach utrudniały strzały i powodowały pudła, tem bardziej, że zając przy siarczystym mrozie — osobliwie ku wieczorowi — szedł szalenie ostro.

O polowaniach, które jeszcze w powiecie brodzkim mają się odbyć, nie omieszkam donieść.

Henryk Garwoliński.

Łoszniów, 14. stycznia 1901.

Niedawno doniosłem w kilku słowach o wyniku polowania urządzonego przez Hr. Michała Baworowskiego ze Sorocka w dniach 4. i 5. bm. w Myszkowcach i Baworowie. Cyfry tam podane świadczą dostatecznie, że polowanie to wypadło dobrze, mimo, że dwa najlepsze mioty brano już o zmroku, tu zaś dodam tylko, że także z ilości zwierzyny, która uszła niestrzelana lub spudłowana można sobie było wyrobić pojęcie o pomyślnym jej stanie. Dziś chcę się podzielić wrażeniami z polowania w Łoszniowie i Krowince, które urządził Hr. Baworowski w dniach 10, 11, 12, i 14. bm., a które dzięki uprzejmości szanownego gospodarza i profuzyi zwierzyny pozostanie dla zaproszonej drużyny myśliwskiej miłem wsyomnieniem. Dość powiedzieć, że w ciągu czterech dni, polując dziennie w 6 do 9 strzelb, mieliśmy na rozkładzie 208 zajęcy, 16 kozłów i 6 lisów, jakkolwiek drugiego dnia polowania była pora niesprzyjająca, trzeciego zaś dnia mogło paść więcej, ale strzelano gorzej. Każdy przyzna, że jak na nasze stosunki wynik to zupełnie zadowalający, zwłaszcza, że knieje te były pod względem ochrony zwierzyny zaniedbane i dopiero obecny właściciel polowania od 5 lat dokłada starań, ażeby stan zwierzyny podnieść. Jego zatem zasługą, żeśmy widzieli i strzelali dużo, naszą zaś żeśmy i nie mało przepuścili, nie mając w niektórych miotach dość czasu, ażeby nabijać. Jeśli dodam, że ład na polowaniu był wzorowy, prowadzenie polowania przez nadleśniczego, p. Chrzanowskiego, umiejętne i z wielką wytrawnością liczące się z położeniem kniei, to chyba nie potrzebuję zapewniać, że to wszystko razem złożyło się na jedną z tych miłych zabaw myśliwskich, do których myśl nasza z przyjemnością później powraca.

Za chwile tak wesoło spędzone, wszelkie starania i gościnne przyjęcie należy się zacnemu gospodarzowi szczera wdzięczność.

B. C.

Lwów, 16. stycznia 1901.

W nadziei, że to czytelników Łowca, a przedewszystkiem tych wszystkich zainteresuje, którzy posiadają własne lub wydzierżawione tereny myśliwskie, podaję poniżej tabelę, obejmującą rezultaty gospodarstwa łowieckiego mojego brata, Jana Sołowija w Kamionce wołoskiej, koło Rawy.

Zebranie ubitej zwierzyny w Kamionce od r. 1897:

Tabelę tę uzupełniam następującemi uwagami:

Rok	Zwierzyna pożyteczna: Rogacz	Zając	Słonka	Kaczka	Kuropatwa	Przepiórka	Bekas	Razem	Zwierzyna szkodliwa: Pies	Kot	Borsuk	Lis	Jastrząb	Bocian	Wrona i sroka	Kuna	Łasica i chomik	Razem	Rozchody złr.	Wartość zwierzyny złr.
1897	3	5	2	59	11	21	48	149	42	43	2	12	13	6	95	—	—	213	244	56
1898	7	77	7	129	17	6	118	361	71	35	6	20	30	34	276	1	1	474	363	185
1899	18	188	2	93	267	54	14	536	21	17	—	7	18	28	72	1	—	164	357	463
1900	11	207	23	25	336	43	44	689	85	93	16	25	54	52	372	3	20	720	602	551

Teren myśliwski obejmuje dwa rewiry leśne, z których jeden 700 morgowy blisko domu, drugi 1000 mor-

gowy, odległy o dwie mile. Pola dworskie obejmują około 2.000 morgów obszaru, polowanie gminne około 17.000 morgów, gdyż Kamionka wołoska wieś należy do największych w kraju, ma cztery parafie, cztery szkoły etc. i ciągnie się na przestrzeni 3 mil. Cały zatem teren myśliwski ma przeszło 20.000 morgów obszaru, zakończonych z obu stron wspomnianymi wyżej rewirami lasowymi. Ujemną i to bardzo ujemną stronę stanowi to, że obejścia chłopskie rozrzucone są na całej tej ogromnej przestrzeni (12 osad) — a stąd upilnowanie jest prawie niemożebne. Rubryka rozchodu powyższej tabeli obejmuje pensye dwóch strażników polowania, strzałowe i czynsze za polowania gminne, tudzież koszt nagonki — podniesienie się tej rubryki w roku bieżącym wywołane tem, że czynsz polowania gminnego podniósł się czterokrotnie w tym roku.

Wartość zwierzyny liczona bardzo nisko. Tegoroczny wykaz ubitej zwierzyny nie obejmuje polowania na rogacze w rewirze większym, Piratynie. Dotąd bowiem polowano tam zawsze po zwykłem gremialnem polowaniu jesiennem, z końcem grudnia tylko na rogacze i lisy — a w tym roku przełożono to polowanie na styczeń. Stąd też ubytek w ilości zabitych rogaczy nie daje miary a przyrost w ilości sarn jest niewątpliwy.

W chwili, gdy mój brat objął dzierzawę Kamionki, a zarazem prawo polowania w r. 1897, polowano tam z psami, zawsze i na wszystko, podobno także w maju na zające. Dodatni rezultat gospodarki czteroletniej jest niewątpliwy.

Oprócz zwykłej straży lasowej, utrzymuje się dwóch strażników polnych polowania (drugi strażnik przyjęty od roku); w ciągu czterech lat schwytano i oddano władzy do ukarania 37 kłusowników.

Ciekawy jest objaw, a zdaje mi się, że powtarza się ten objaw zawsze i wszędzie — a mianowicie, że w miarę przyrostu zwierzyny pożytecznej, rośnie cyfra ubitej zwierzyny szkodliwej — a stąd logicznie wynika wniosek, że doprowadziwszy stan zwierzyny do pomyślnego stanu, nie można i nie powinno się ustawać w dalszej o nią troskliwości — bo tak samo łowiecka, jak każda inna kultura, wymaga dla postępu ustawicznej pracy.

Władysław Sołowij.

Starebrody 18 stycznia 1901.

Polowanie w Dubiu. Knieje piękne, zwierzyny dużo. Zające pocztowe drogi porobiły — sarnich dróg co nie miara, a polowanie się nie udało, bo okiść; kto tego nie zna — jest niemyśliwy. Już kilkanaście razy polowałem w okiści i nigdy polowanie nie udało się. Raz na Czarnym lesie, u starosty Niewiadomskiego, polowaliśmy w okiść, i tam, gdzie przedtem do 10 zajęcy strzelałem na jednem stanowisku, sarn dużo, po kilkanaście rogaczy padało dziennie, wtedy padł 1 zając, i 1 rogacz, a sam starosta prowadził polowanie, i nagonka znakomicie przez niego wdrożona, szła dobrze. — W Kolendzianach w ten sam dzień polowano, i zabito jednego warchlaka, a było wtedy większe polowanie, bo głównodowodzący był tam na polowaniu.

Taki dzień był wczoraj w Dubiu — i tak jeszcze dobrze poszło, padło 2 rogacze, lis i 11 zajęcy. Więc nie trap się, kochany towarzyszu, że zwierzyny nie ma — jest, tylko okiść była na przeszkodzie — prawda, że ci przykro, że dwóch towarzyszy nie strzelało, ale dobry myśliwy jest do tego przyzwyczajony — a najlepszy dowód, że wszyscy się zjedziemy na rok przyszły n. b., kto dożyje. Wygodnie się polowało, wszędzie saniami się podjeżdżało, a wieczorem obiad dobry, i kajenna było — humory doskonałe, „karaj Boże tak ciłyj wik". *Delegat Brodzki*

M. Tyszkiewicz.

Bursztyn, 20. stycznia 1901.

W lasach tutejszych księcia Stanisława Jabłonowskiego polowano w tegorocznym sezonie 5 razy. Ogólny rezultat polowania był następujący:

5 kozłów, 2 lisy, 66 zajęcy i 1 puhacz. W przyszłym tygodniu ma się ponownie odbyć polowanie, a o rezultacie nie omieszkam szanownej Redakcyi donieść.

Mojsewicz.

Stryszów, 19. stycznia 1901.

Ze wszystkich stron zachodniej części kraju dochodzą hiobowe wieści o wyniku polowań na zające. Czy zimna i słotna wiosna, a szczególnie mrozy w maju, czy też w wielu miejscach motylica i tuberkuly zdziesiątkowały stan zajęcy? W powiecie naszym wadowickim zaledwie czwartą część osiągnęliśmy zwykłego rozkładu. Przypuszczenia moje złowrogie, udzielone w maju kochanemu *Łowcowi* niestety sprawdziły się, zdaje się, iż na naszych ciężkich przeważnie nieprzepuszczalnych glinach nie było w tym roku prawie wcale młodych zajęcy; w osiągniętych nader smutnych rozkładach znajdowały się przeważnie same weterany. Polowałem w Chrzanowskiem, gdzie lepsze i cieplejsze ziemie, tam ubytek już znacznie mniejszy, chociaż nie to co dawniej. A przecież są okolice, gdzie zwierzostan nie tylko nie ucierpiał w tym roku, ale nawet znacznie się podniósł. 16. bm. odbyło się polowanie w Śledziejowicach u p. Stanisława Larysz Niedzielskiego; zdumieni patrzyliśmy na rojące się w kotłach szaraki, a ogólny rezultat może słusznie wbić w dumę szanownego właściciela tych pięknych rewirów: 1 rogacz, 1 lis i 289 zajęcy leżało na rozkładzie, ubitych przez 14 myśliwych. Królem był p. marszałek Fr. Paszkowski z 30, a dzielnie mu sekundowali p. radca dworu Struszkiewicz i p. marszałek Karol Czecz, każdy z 29 zającami. A cóż za przyczyna tego tak świetnego wyniku, nietylko na galicyjskie stosunki? Myślę, że nie omylę się, gdy podam następujące: 1) znakomitą ochronę, pieczołowitość o zwierzostan, tępienie drapieżników, 2) wzorowe prowadzenie polowania; 3) urządzanie łowów tylko co dwa lata w tych samych rewirach; 4) dobre ze wszystkich stron sąsiedztwo; lżejsze i ciepłe, w wysokiej kulturze ziemie.

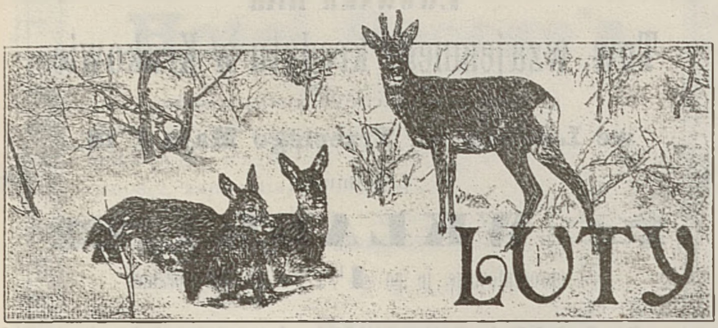
Wspaniałe były to gody dla zgromadzonych tamże myśliwych, a gdy dodamy do tego tradycyonalną gościnność i uprzejmość kochanego gospodarza i jego zacnej małżonki, nie pozostaje nic jak w imieniu całej drużyny złożyć im z całego serca staropolskie: „Bóg zapłać" za ten dzień, który na długo w wdzięcznej pozostanie pamięci!

Delegat wadowicki

Franciszek Łubieński.

Sprawozdania łowieckie, łaskawie nam nadesłane, z braku miejsca umieścimy dopiero w następnym numerze. *Redakcya.*

Kalendarz łowiecki.



Strzelać wolno w tym miesiącu cietrzewie, dropie, głuszce, rogacze, pardwy, ptactwo błotne i wodne.

Pomimo tego, że luty i śnieżny i mroźny z reguły bywa, czuć już powiew zbliżającej się wiosny. Słońce stoi już wyżej i przygrzywa cieplej — gdy idziesz lasem, choćby zasianym wysokim śniegiem i ozdobionym okiścią, słyszysz to kwilenie jastrząbka, zgoła nie zimowe, to wesołe, całkiem inne niż w grudniu i styczniu krakanie wron i gawronów.

Zwierzyna zaczyna już oddawać się dziełu mnożenia. Nierzadko spotkać już można zającep arami chodzące; dobry myśliwy na ostatnich styczniowych polowaniach strzelać będzie w takim razie do drugiej sztuki, rachując na pewne że ubije gacha, a samicę przepuści zdrowo. W tym miesiącu możliwy jest dublet do lisów, bo często na jedno stanowisko dwa ich naraz wychodzi. Rogacze dostają już nowe rogi; otoczone scypułem dają się z daleka wyraźnie widzieć i stają się często przyczyną śmierci rogacza na lutowych polowaniach z takich rąk, z których w styczniu nie byłby padł. Dziki przeciągają jeszcze niekiedy na ten miesiąc lochanie się. Jelenie bujne w tym miesiącu zaczynają już wieńce zrzucać. Niedźwiedź myśli już o opuszczeniu gawry. Z końcem miesiąca rozbijają się już kuropatwy na pary.

Pora teraz nastawać na drapieżniki, szczególniej drapieżne ptactwo, które w tym miesiącu na dobre ciąg ku północy rozpoczyna.



Sprawy Towarzystwa.

Posiedzenie Wydziału Gal. Towarzystwa łowieckiego z d. 22. stycznia 1901.

Przewodniczy Wiceprezes, Ordynat Czarkowski - Golejewski. Członek Wydziału, p. Miziewicz, przedkłada sprawozdanie z ruchu członków i stanu funduszów Towarzystwa, jak również przybliżony preliminarz dochodów i wydatków na r. 1901. Zdaje również sprawę ze starań Prezydyum o utworzenie biura Towarzystwa, najęcie lokalu na siedzibę tego biura i zarządzeniach w tym kierunku poczynionych, mających na celu wygodę członków Towarzystwa i umożliwienie jak najszybszego załatwiania spraw Towarzystwa i ekspedycyi Łowca.

W związku z ta sprawą przyjmuje Wydział do wiadomości rezygnacyę p. A. Dzikowskiego z godności skarbnika Towarzystwa i uchwala wyrazić p. Dzikowskiemu gorące podziękowanie za trudy, z tą godnością połączone, i uznanie za zasługi, jakie na tem stanowisku dla Towarzystwa położył, udzielając Wydziałowi tak wydatnej pomocy w czasie, kiedy ze względu na zaległości z lat dawnych i potrzebę jak najrychlejszego ich spłacenia, Wydział do urządzenia biura nie mógł przystąpić. Agendy Biura Towarzystwa, jak również i funkcye skarbnika powierzono p. Ludwikowi Józefowiczowi, b. delegatowi Towarzystwa na powiat borszczowski, oddając prawo asygnowania wypłat z funduszów Towarzysowa członkowi Wydziału, p. Sewerynowi Krogulskiemu.

Delegatami mianowano: na powiat skałacki p. Bronisława Rozwadowskiego, na powiat tarnopolski p. Adama Maniewskiego, na powiat jasielski p. Kazimierza Macudzińskiego.

W sprawie trucia wilków poruszonej przez br. Pfaffenheim-Chłędowskiego, w której ck. Ministerstwo zażądało opinii Towarzystwa, postanowiono odpowiedzieć, że myśliwi galicyjscy obowiązki swoje wobec tego szkodnika spełniają, w skutek czego wszelkie nowe zarządzenia byłyby zbyteczne.

Na wniosek p. Hamerskiego uchwalono udać się do p. Prezydenta miasta Lwowa z przedstawieniem, żeby straż akcyzowa otrzymała polecenie pilniejszego przestrzegania ustawy łowieckiej, obecnie bowiem, po spadnięciu większych śniegów, nadchodzą do miasta bez przeszkody całe mnóstwa wyłapanych na sidła kuropatw. Na tem posiedzenie zamknięto.

Sprawozdanie oryginalne z targu zwierzyny,

Józefa Schmerla Grafa z Wiednia III. Grossmarkthalle.

Wiedeń 26. stycznia 1901.

Z dniem 21. bm. nastąpiła zmiana temperatury, a tem samem redukcya cen wszelkiej zwierzyny. Mimo temperatury nie sprzyjającej zwierzynie, zające nadchodzą większemi partyami także z Galicyi. Jeszcze 20. bm. sprzedawano tu zające węgierskie po 2 K. 90 h.; zaś galicyjskie po 3 K 20 h.; obecnie o 20 h. mniej, dyferencya byłaby jeszcze znaczniejsza, gdyby nie wyekspedyowano z Wiednia pięć wagonów zajęcy do Paryża.

Po zakończeniu sezonu polowań w dniu 3. lutego, spodziewać się należy przy takiej temperaturze dalszej redukcyi cen zajęcy. Jeżeli jednak nastąpią mrozy, oczekiwać należy podniesienia się cen z powodu, że sprzedaż zajęcy tutaj dozwoloną jest do 2. marca, a zatem cały miesiąc od rozpoczęcia ochrony.

Ochrona dla bażantów i jeleni następuje w dniu 1-go, zaś sprzedaż dozwoloną jest do 14. lutego.

Bażanty trzymają się na dotychczasowych cenach, zaś rogacze, których sprzedaż dozwoloną jest do 15 marca, spadły w cenie po 20 h. na kilogram, a to z powodu łagodnej temperatury, jakoteż z tego powodu, że bale dworskie odłożono do 13. lutego.

Kwiczoły i kuropatwy w ochronie od 1. stycznia. Obecnie notują włącznie z podatkiem spożywczym en gros „ab Halle“:

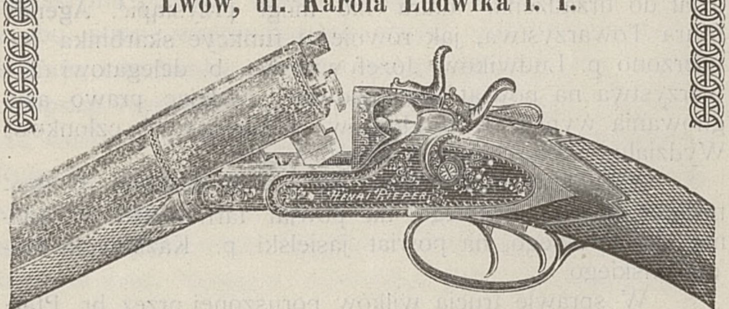
Jelenie 70—72 h. za 1 kg. — Łanie 73—76 h. za 1 kg. — Daniele 76—78 h. za 1 kg. — Kozice 65—70 h. za 1 kg. — Rogacze 1 k. 50 h. do 1 k. 60 h. za 1 kg. — Warchlaki 1 k. 45 h. do 1 k. 60 h. — Dziki do 70 kg. 70—80 h. za 1 kg, — Zające 2 k. 70 h. do 2 k. 75 h. za sztukę. — Bażanty (koguty) 4 k. 20 h. do 4 k. 50 h. za sztukę. — Bażanty (kury) 3 k. 30 h. do 3 k. 50 h. za sztukę. — Dzikie kaczki 2 k. 10 h. do 2 k. 20 h. za sztukę. — Cyranki 80—90 h. za sztukę. — Jarząbki 2 k. 30 h. do 2 k. 70 h. za sztukę. — Słonki 3 k. 50 h. do 3 k. 75 h. za sztukę.

Józef Schmerl Graf.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyńcze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Coletha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

Lwowska filia

Tow. wzajemnego kredytu w Krakowie

gmach Asekuracyi krakowskiej

we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 18.

przyjmuje

WKŁADKI

i oprocentowuje je po $4^1/_2$% od sta rocznie.

65—31—?

Do 2.000 koron wypłaca bez wypowiedzenia.

Konserwacya skóry.

Wazelina,
Tran prawdziwy,
Apretura na skórę,
Lakier matowy,
Lakier błyszczący.

Najtańszy skład

W. CZOPP

Handel farb i lakierów

Lwów, Żółkiewska 2.

Codziennie 2 razy wysyłka pocztą.

18—24

Krzysztof Krzysztofowicz

Generalny zastępca

maszyn do pisania

„UNDERWOOD“

KRAKÓW, Lubicz 7.

Na żądanie cenniki gratis i franco.

Bibułka odznaczona najwyższą nagrodą na wystawie światowej w Paryżu 1900. oraz złotym medalem na wystawio przyrodn.-lekarsk. w Krakowie 1900

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych
oraz tutek cygaretowych

„NORIS“

Władysława Bełdowskiego

magistra farmacyi i chemika w Krakowie.

Dla łatwego wyboru
tutek polecam:

Tutki białe „Noris“		
„ „ „ z walą		
„ kukurydzowe „Maïs Numa“		do tytoniów lekkich specyaln.
„ „ „Maïs Albert“		
„ „ „Maïs de Paris“		do tytoniów specyalnych
„ „ „Moïs Wallis“		
„ egipskie „El Maur“		
„ „ „Offic. Club“.		

Na żądanie wysyłam darmo ....
.... i opłatnie okazy tutek.

Idąc z postępem i rozwojem przemysłu i chcąc zaspokoić wszelkie wymagania P. T. palących papierosy, wprowadziłem tutki „NORIS“ *udoskonalone, tem się odznaczające, że papieros zapalony* **nie gaśnie szybko, nie naciąga tłuszczem, a wskutek tego, całego papierosa można smacznie wypalić.**

Wogóle zwracamy uwagę na **tutki białe „NORIS“ i kukurydzowe**, *odznaczają się bowiem chłodnym i łagodnym dymem, nie wpływają ujemnie na* **zmianę smaku i zapachn tytoniu,** *a to jest ich bardzo wysoką zaletą,* **że nie drażnią krtani i nie pobudzają wskutek tego do kaszlu.**

Liczne uznania, jakie ciągle odbieram, są najlepszym dowodem niepospolitej jakości moich wyrobów.

Do nabycia w handlach i trafikach.

Wyłączny skład na Lwów i wschodnią Galicyę: W składzie osobliwszych gatunków tytoniu i cygar, ulica Karola Ludwika.

Z wysokim poważaniem

WŁ. BEŁDOWSKI, magister farmacyi i chemik.

Poselska 20.

Hotel George'a

we Lwowie,

nowo wybudowany i nowo urządzony polecamy łaskawym względom podróżującej P. T. Publiczności, zapewniając, że usilnem naszem staraniem zawsze jest wszelkim wymogom zadość uczynić.

Pokoje z światłem i usługą od 3 koron począwszy.

Z wysokim poważaniem

Współwłaściciele hotelu.

Najlepsze

Pałasze i szpady

do szermierki, model **„SANTELLI“**

do nabycia **tylko** u firmy

J. CALDERONI

Zakład mundurowania Pp. Oficerów i Urzędników

Lwów, ulica Kopernika l. 9.

Jedyny i wyłączny skład wszelkiego rodzaju **włoskich przyborów szermierczych.**

Oddział Melioracyjny

lwowskiej Filii

Banku gal. dla handlu i przemysłu

ulica Jagiellońska l. 3

wykonuje wszelkie prace melioracyjne, jako to: zdjęcia planów, wygotowywanie kosztorysów do drenowania pól, nawodnienia i odwodnienia łąk, budowy rowów, kanałów, dróg, szos, kolejek itp., i poleca się do praktycznego przeprowadzenia powyższych prac. Finansowanie uskutecznia się podług każdorazowej szczególnej umowy. W razie już gotowych planów nastąpić może na podstawie tychże wykonanie pracy.

Dyrekcya.

16—16

TRADE MARK

CHAMPAGNE

ERNEST IRROY

REIMS

Maison fondée en 1820.

Zastępstwo dla Galicyi

Leon Sadowski

Mickiewicza l. 9.

Świeże nasiona

jarzyn, kwiatów, traw, buraków pastewnych, koniczyn, lucerny francuskiej i nasion lasowych

poleca po cenach najtańszych i w najlepszych gatunkach

16—24

główny skład

nasion, roślin i kwiatów

Z. Mękarskiego

we Lwowie, pl. Halicki 1.

Cenniki nasion na żądanie franco.

NAJWYBORNIEJSZYCH

½ Kg.	cukrów deserowych jako to pomadki, czekoladki etc.	zł.	1·20
„	Biskwitów ang. i herbatników	„	1·—
„	Karmelków mięszanych	„	—·75
„	Cacao odtłuszczone proszkowane	„	1·50
„	Czekolady wybornej od 70 ct. do	„	1·50

poleca codzień świeże

HENRYK TRETER

właściciel parowej fabryki cukrów i czekolady we Lwowie. 116—25—24

Kupujmy znakomite wyroby własne, precz ze sprowadzoną tandetą!

EMIL KUŹNICKI

FABRYKA

Papy dachowej, asfaltu, płyt izolacyjnych itp.

Oświęcim-dworzec

Filia: Lwów, Pasaż Hausmana l. 3.

Przedsiębiorstwo robót asfaltowych i krycie dachów ogniotrwałą papą.

132—25—24

Hotel Europejski

we Lwowie

zupełnie odnowiony i na nowo urządzony polecam łaskawym względom podróżującej P. T. Publiczności, zapewniając, że usilnem mojem staraniem zawsze jest wszelkim wymogom zadość uczynić.

Z wysokiem poważaniem

Albert Szkowron

właściciel hotelu.

Pokoje od złr. 1 począwszy. 109—14—12

W. PRIMUS i S. IGLICKI

we Lwowie

ulica Jagiellońska l. 12.

polecają swój bogato zaopatrzony

Magazyn materyj na meble, portyer, firanek do okien

dywanów, chodników i dekoracyj pokojowych

niemniej w wielkim wyborze

kapy na łóżka i serwety na stoły; meble do salonów, sypialń, jadalni i męskich pokoi

TAPETY.

22—24 **Własna pracownia tapicerska.**

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po 1½ ct. od wyrazu).

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**